

Goodbye Days
Jeff Zentner
Przekład Grzegorz Komerski

fragment

Rozdział pierwszy

Niewykluczone, że zabiłem trzech moich najlepszych przyjaciół.

Niewykluczone, ponieważ opinie w tej kwestii są dość podzielone. Gdybyście zapytali babcię Blake'a Lloyda – babunię Betsy – zapewne odpowiedziałaby, że nikogo nie zabiłem. Kiedy się dzisiaj spotkaliśmy, otoczyła mnie wilgotnym od łez, mocnym uściskiem i szepnęła mi do ucha: „To nie jest twoja wina, Carverze Briggsie. Wie o tym Bóg i wiem o tym ja”. Babunia Betsy zwykle mówi to, co myśli. Taka już jest.

Gdybyście zapytali rodziców Eliego Bauera – doktora Pierce'a Bauera i doktor Melissę Rubin-Bauer – ci, jak sądzę, odpowiedzieliby: „Być może”. Oboje spoglądali mi dzisiaj prosto w oczy i uściśli mi dłoń. Na ich twarzach malował się raczej ból po stracie bliskiej osoby niż gniew. Oboje uściśli mi dłoń słabo i delikatnie, jakby nie mieli dość siły na więcej, jakby nie byli pewni, czy obwiniać mnie za swój ból, czy nie.

A ich córka Adair? Bliźniaczka Eliego? Do tej pory byliśmy przyjaciółmi. Nie tak bliskimi jak ja i Eli, ale jednak. Myślę, że Adair uważa, że odpowiadam za śmierć jej brata. Patrzyła na mnie wrogo, zupełnie jakby żałowała, że nie było mnie w tym samochodzie. Patrzyła tak na mnie, rozmawiając z grupką naszych kolegów z klasy, którzy stawili się na pogrzebie.

Pozostają jeszcze sędzia Frederick Edwards i jego była żona Cynthia Edwards. Moim zdaniem, na pytanie, czy zabiłem ich syna, Thurgooda Marshalla Edwardsa, który wolał być po prostu Marsem, odpowiedzieliby zdecydowanym: „Prawdopodobnie tak”. Kiedy podszedłem dziś do jak zawsze nienagannie ubranego sędziego Edwardsa, dłuższą chwilę mierzył mnie z góry uważnym spojrzeniem. Milczenie zaczęło się przeciągać, a powietrze między nami zdawało się tężeć i zastygać.

– Dobrze pana widzieć... – odezwał się wreszcie i wyciągnąłem spoconą dłoń.

– Dzisiaj nic nie jest dobre – oznajmił dostojnym, nieprzystępnym tonem, zacisnął usta i popatrzył ponad moim ramieniem w dal.

Być może okazując mi obojętność, usiłował ukryć fakt, że w głębi duszy uważał mnie za winnego śmierci jego dziecka. Ścisnął mi rękę tak, jakby chciał naraz dopełnić towarzyskiego obowiązku i mnie ukarać.

A co ja o tym myślę? Otóż uważam, że to ja zabiłem trzech swoich najlepszych przyjaciół.

Nieumyślnie. W zasadzie jestem pewien, że nikt nie podejrzewa mnie o premedytację; nikt nie podejrzewa, że pod osłoną nocy wpełzłem pod samochód i podstępnie przeciąłem przewody hamulcowe. Nic z tych rzeczy. Raczej okrutna ironia losu: jako przyszły pisarz „wypisałem” ich z książki życia. Gdzie jesteście, chłopaki? Odpiszcie – niezbyt kreatywny, mało błyskotliwy SMS. Niemniej, na ekranie telefonu znalezionego przy ciele Marsa (to on siedział za kółkiem) widniała niedokończona odpowiedź na mój SMS. Zrobił to, o co go poprosiłem, i pędząc prawie sto sześćdziesiąt na godzinę, wpakowali się w stojącą na autostradzie ciężarówkę. Samochód chłopaków wbił się pod przyczepę, która praktycznie ścięła całe nadwozie. Czy mam absolutną pewność, że to właśnie moja wiadomość uruchomiła łańcuch wydarzeń, który doprowadził do śmierci przyjaciół? Nie, nie mam, a mimo to jestem o tym głęboko przekonany. Czuję się odrętwiały, pusty. Wciąż jeszcze nie dopadło mnie przenikliwe, palące cierpienie, choć wiem, że pojawi się wkrótce. Pamiętam, jak kiedyś pomagałem mamie w kuchni i zabrałem się do krojenia cebuli. Nóż zjechał po śliskiej główce i głęboko skaleczył mi dłoń. W tym momencie mój mózg po prostu zamarł, jakby potrzebował czasu, aby się połapać w sytuacji i zorientować, czy rzeczywiście jestem ranny. W pierwszej chwili uświadomiłem sobie tylko dwa fakty: czuję jedynie krótkie uderzenie i tępe pulsowanie, ale ból nieodwołalnie musi nadejść. I wierzcie mi, nadszedł. Pomyślałem też, że za sekundę, najdalej dwie, poplamie krwią ukochaną

bambusową deskę kuchenną mamy (owszem, niektórzy ludzie nawiązują głębokie więzi emocjonalne z deskami do krojenia; nie pytajcie – ja tego nie rozumiem).

Tak więc jestem na pogrzebie Blake'a Lloyda i czekam, aż nadejdzie ból. Czekam, aż moja krew zachłapie wszystko dokoła.

Rozdział drugi

Jestem siedemnastoletnim ekspertem od pogrzebów. Plan był jasny i oczywisty – wszyscy mieliśmy szczęśliwie przebrnąć przez ostatni rok w Nashville Arts Academy. Po szkole Eli zamierzał wstąpić na Berklee College of Music, na wydział gitary. Blake wybierał się do Los Angeles, gdzie chciał się zająć pisaniem scenariuszy i karierą komika. Mars nie zdecydował jeszcze, dokąd wyjedzie, nie miał jednak wątpliwości, co będzie robił: zamierzał rysować komiksy. Ja z kolei wahałem się pomiędzy uniwersytetami Sewanee lub Emory, gdzie chciałem studiować kreatywne pisanie. Żaden punkt planu nie przewidywał, że będę kiedykolwiek czekał na rozpoczęcie uroczystości pogrzebowych trzeciego już członka Brygady Sos. Marsa pochowano wczoraj. Eliego dzień wcześniej.

Pogrzeb Blake'a jest w małym białym kościółku baptystów – jednym z mniej więcej 37 567 takich samych baptystycznych kościółków w Nashville. Cuchnie tu dietetycznymi herbatnikami, klejem i starą wykładziną. Na ścianach wiszą rysowane kredkami obrazki z życia Jezusa. Przypominająca brodaty lizak postać rozdaje niebieskie i zielone ryby tłumowi ludzików nakreślonych za pomocą kilku kresek. Klimatyzacja nie radzi sobie z wczesnosierpniowym upałem i koszmarnie się pocę w nowym granatowym garniturze, który pomogła mi wybrać moja siostra Georgia. W sumie powinienem raczej napisać, że wybrała go sama, podczas gdy ja stałem obok kompletnie otumaniony. Z odrętwienia wyrwałem się tylko na moment, by wyrazić przekonanie, że zdaje się, lepszy byłby czarny. Georgia cierpliwie i łagodnie wyjaśniła mi, że granatowy jest w porządku, a w dodatku będę mógł go zakładać na inne okazje, już po pogrzebie. Powinna była powiedzieć „po pogrzebach”. Zawsze się myli. A może nie?